

Adam Zabłocki*

Długa droga do domu: o losach rodziny Drążkiewiczów z Supraśla

Jednym ze skutków II wojny światowej były masowe migracje ludności. Miliony ludzi musiało przymusowo opuścić swoje domy. Procesom tym nadano różne nazwy – repatriacje, wysiedlenia, deportacje – a rejonem, który został przez nie szczególnie dotknięty, były tereny wschodniej Polski, anektowane w 1939 r. przez ZSRR. W niniejszym artykule pragnę przedstawić jeden przykład spośród tysięcy bardzo podobnych losów polskich rodzin, które z wyroku Józefa Stalina zostały skazane na wieloletnią tułaczkę po bezkresnych przestrzeniach Związku Sowieckiego. Oto historia rodziny Drążkiewiczów.

Józef Drążkiewicz przyszedł na świat 10 grudnia 1898 r. Pierwsze lata życia spędził w Łodzi, ukończył tam czteroklasowe gimnazjum i przyuczał się do zawodu farbiarza. Czasy, w których dorastał, były jednak zbyt burzliwe, aby utrzymać energicznego chłopaka w murach szkolnych. Niedługo po wybuchu I wojny światowej zaangażował się w działalność Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). Potem do połowy 1919 r. służył w armii, kończąc szkołę podoficerską. Problemy zdrowotne zmusiły go do przedwczesnego odejścia, ale nie oznaczały porzucenia służby Ojczyźnie. Zielony mundur żołnierza zamienił na granatowy uniform funkcjonariusza Policji Państwowej. Na początku lat dwudziestych pojął za żonę

* Adam Zabłocki, historyk, archiwista, Stowarzyszenie Collegium Supraśliense.

białostoczanek, Jadwigę Lubecką. Wkrótce potem otrzymał przydział służbowy do małego miasteczka w sercu Puszczy Knyszyńskiej. I tak państwo młodzi osiedli w Supraślu. Józef objął stanowisko komendanta posterunku policji, a jego żona – podjęła pracę nauczycielki w szkole powszechnej. Rychno wrosło w supraskie środowisko, a że niedługo doczekali się dzieci, pobudowali przy ul. Kościelnej obszerny dom. Szczególnie bliskie relacje utrzymywali z rodziną Mareckich. Ferdynand Marecki (ówczesny dyrektor szkoły) trzymał do chrztu młodszego syna Drażkiewiczów, Czesława. Po kilku latach Józef zrezygnował ze służby w policji i wrócił do wyuczonego fachu farbiarskiego. W roku 1937 najął się do pracy biurowej w białostockiej elektrowni. Nadal angażował się w życie społeczno-polityczne Supraśla, m.in. pełnił funkcję lokalnego prezesa Koła Rozbudowy Szkół Powszechnych, a w 1936 r. kandydował na urząd wiceburmistrza¹. Spokojne życie Drażkiewiczów brutalnie przerwała II wojna światowa.

Latem 1939 r. w Supraślu został powołany Komitet Obrony Narodowej, który miał pilnować porządku i kierować zadaniami obronnymi w miasteczku w razie wybuchu działań wojennych. Na jego przewodniczącego – zapewne ze względu na dawną służbę w policji – wybrano Józefa Drażkiewicza². Front nadciągnął jednak nadszpodziewanie szybko. Na początku drugiej dekady września zarządzono więc ewakuację członków Komitetu i harcerzy. Kawalkada podążyła na wschód, lecz jej pochód już po kilku dniach został powstrzymany. Na wieść o najeździe Armii Czerwonej uaktywniły się bowiem komunistyczne bandy, które zaczęły atakować polskie oddziały.

¹ Opracowano na podstawie życiorysu Józefa Drażkiewicza (kopia w zbiorach autora) oraz kwestionariusza personalnego (Archiwum Państwowe w Białymstoku /dalej APB/, Zarząd Miejski w Supraślu, 4, Kwestionariusz personalny, 2 VIII 1947 r., k. 7).

² J. Doroszkiewicz, Komitet Obrony Narodowej, „Nazukos-Supraśl” 2003, nr 143, s. 6.

W Skidlu na Grodzieńszczyźnie udało im się nawet opanować całe miasto. Tam też w ich ręce wpadł Drążkiewicz. Na szczęście z Grodna w porę zdążyła nadciągnąć odsiecz i po kilkunastu godzinach walk odbiła więźniów. Był to dopiero początek kłopotów. Wkrótce Kresy Wschodnie zostały wcielone do ZSRR i pojawił się prawdziwy koszmar w postaci NKWD.

Jeszcze jesienią 1939 r. ruszyło polowanie na członków POW. 20 października schwytano białostockiego prezesa związku, Jana Pasztę, a wraz z nim w ręce NKWD wpadły wszystkie dokumenty, w tym wykaz członków POW. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Drążkiewicz został aresztowany 9 stycznia 1940 r. i przewieziony do białostockiego więzienia. Nie od razu trafił do pokoju przesłuchań. Enkawudziści zajmowali się innymi osadzonymi, toteż przez pierwsze półtora tygodnia miał spokój. W końcu przyszła kolej i na jego „badanie”, czyli zestaw wymyślnych tortur, których specjaliści z NKWD używali do złamania oporu „wrogów ludu”:

Badania moje nastąpiły już po 10 dniach, zawsze w nocy. Miało to ten cel, że [człowiek] zerwany ze snu i szybko pytany często wpadał w dezorientację, wtedy zadawano szybkie pytania z wymuszeniem do przyznania się do oskarżenia. Kiedy nie przyznawałem się, sadzano mnie na nóżce taboretu z wyciągniętymi do przodu nogami. W takiej pozycji siedziałem około godziny. Kiedy tak długo siedzieć nie mogłem, podciągałem nogi do siebie, wtedy to w haniebny sposób tj. kopnięciem w kolano prostowano na nowo nogi, (wówczas, A.Z.) z powodu silnego kopnięcia taboret usuwał się, a padając raniło się plecy i głowę (taboret był stawiany pół metra od ściany). (Potem, A.Z.) jeszcze paru kopnięciami doprowadzano do poprzedniego porządku³.

³ Kwestionariusz Józefa Drążkiewicza, Instytut Hoovera, Ministerstwo Informacji i Dokumentacji, zespół 37, relacja nr 2630.

Józef okazał się twardym więźniem. Bicie i groźby nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Wprowadzono więc nową katuszę – wielogodzinny pobyt w karcerze, w którym stał nago, owiewany mroźnym powietrzem z otwartego okna. Później znowu przystępowano do „badań”. Wszystko na nic. W końcu zniecierpliwieni kaci chwycili się ostatniej metody. Najpierw zamknęli Drażkiewicza w ciemnicy. Kiedy po trzech dniach wyciągnięto go ledwo żywego na zewnątrz, nie trafił ani do swojej celi, ani do pokoju przesłuchań, tylko został zaciągnięty pod mur i ustawiony twarzą do ściany. Śledczy odpiął kaburę i po raz ostatni zadał mu pytanie, czy przyznaje się do winy. Drażkiewicz milczał, czekając w napięciu na swój koniec. Enkawudzista odczekał jeszcze chwilę, powoli wyciągnął pistolet i uniósł go na wysokość oczu. Potem padł strzał. Niecelny. Cała procedura okazała się „tylko” teatrem grozy. Józef przeżył pozorowaną egzekucję, ale w jednej chwili osiwił...

Po 13 dniach takiej męczarni dano mi wreszcie spokój. 15 lutego 1940 r. około 800 więźniów przewożono do więzienia w Brześciu – Centralnym. W czasie podróży jeden z naszych próbował ucieczki. Konwojent, który zauważył, dał wystrzał, pociąg zatrzymano, wypędzono nas z wagonu i kazano wydać tego, który uciekał, a kiedy tego nie wydaliśmy (to, A.Z.) przez 2 dni nie dostaliśmy jeść, a po wyładowaniu nas w Brześciu 56 wsadzili nas do celi w piwnicy, która miała 3 m długości, a 2,5 m szerokości. Tam to nas 13 ciężko zachorowało i po trzech dniach przeniesiono nas na szpital⁴.

Pobieżne „leczenie” było jedynie krótką przerwą pomiędzy kolejnymi etapami więźniarskiej eskapady. Wkrótce Drażkiewicza przeniesiono do drugiego aresztu w Brześciu, a stamtąd powieziono daleko na wschód, do Mińska.

⁴ Tamże.

Słabsi wykańczali się po drodze, nie doczekawszy nawet kresu śledztwa. Jeden z więźniów zmarł jeszcze na stacji w Brześciu. Enkawudziści jednak oświadczyli, że „on jest przeznaczony do Mińska” i faktycznie do Mińska dojechał, tyle, że sześć dni po zgonie. Kilka osób zmarło już po przyjeździe, nie wytrzymując zabójczych warunków mińskich kaza-matów. Drążkiewicz wspominał:

Jedno z najcięższych więzień, to więzienie w Mińsku, cela [nr] 24 ma 7 m długości, 2,5 m szerokości, tam siedziało nas 35. Spało się na waleta na jednym boku, na komendę odwracano się na drugi bok. Tu siedział ze mną b. pułk[ownik] a (potem, A.Z.) profesor matematyki Nowak z Wilna, prezes Sądu Okręgowego w Białymstoku Ostrożko, peowiak Skawski z Białegostoku i wielu innych. Okno celi wysoko (o wymiarach, A.Z.) 50x25 [cm] o ciemnym szkle, drzwi hermetyczne, powietrze wpychano do celi za pomocą wentylatora motorowego. Kiedy na celi (było, A.Z.) brak powietrza lub paru omdlałych, wtedy po kilkunastu uderzeniach denkiem od paraszy (tzn. kibla) wpuszczano powietrze i wyprowadzano omdlałych. Tam to śp. peowiak Skawski zmarł po kilku takich omdleniach⁵.

Podróż trwała nadal. Transport dotarł w końcu do Moskwy i więźniowie stanęli przed obliczem sowieckiego wymiaru sprawiedliwości. Drążkiewicz usłyszał wyrok 8 lat obozu. Paradoksalnie miał szczęście. W tym samym czasie kilkanaście tysięcy polskich oficerów i policjantów zostało zamordowanych przez NKWD i spoczęło w dołach śmierci Katynia, Charkowa, Miednoje, Kuropat, Bykowni. Wśród rozstrzelanych znalazło się wielu supraślan, m.in. nauczyciel Jan Arcichowski, policjant Stefan Korzecki oraz chrzestny

⁵ Tamże.

Czesława Drązkiewicza, Ferdynand Marecki. Prawdopodobnie, gdyby Józef Drązkiewicz został aresztowany wcześniej, a jego śledztwo dobiegło końca zanim wydano rozkaz rozstrzelania więźniów Kozielska, Starobielska, Ostaszkowa, Kijowa i Mińska, to również podzieliłby ich los. Oczywiście, nie mógł o tym wiedzieć, jako że mord na polskich oficerach był ściśle ukrywaną tajemnicą, która wyszła na jaw dopiero w roku 1943. Nie mógł też wiedzieć, że represje osiągną również jego najbliższych.

13 kwietnia 1940 r. Sowieci przystąpili do drugiej fazy deportacji Polaków z Kresów Wschodnich. W pierwszej, lutowej, wywieziono leśników, urzędników i osadników wojskowych. Tym razem celem były przede wszystkich rodziny osób aresztowanych przez NKWD (w tym ofiar zbrodni katyńskiej). Stosowanie odpowiedzialności zbiorowej, czyli karanie nie tylko „wrogów ludu”, ale również ich najbliższych (łącznie z dziećmi) było typową praktyką stalinizmu. Dziesięcioletni wówczas Czesław Drązkiewicz wspominał:

Rosjanie przyszli nocą, dokładnie o północy – kilkusobowa grupa z młodym oficerem na czele. Towarzyszył im Polak z Supraśla, którego nazwiska nie pamiętam. Jego rola sprowadzała się do odnajdywania adresów, co jemu, tutaj zamieszkałemu, było łatwiejsze niż przybyszom z daleka. Byliśmy częściowo przygotowani na taką ewentualność. Już od dłuższego czasu krążyły wśród mieszkańców miasteczka wiadomości podawane w najgłębszej tajemnicy i szeptem, informacje o wywózkach. Mimo że liczyliśmy się z aresztowaniem i mieliśmy przygotowaną na podróż nową, ciepłą odzież, w najwyższym zdenerwowaniu nakładaliśmy na siebie to, co akurat było pod ręką. W czasie nerwowej krzątaniny młody oficerek ciągle pokrzykiwał: nic nie trzeba brać, tam wszystko dostaniecie. Jednak starszy żołnierz zdążył szepnąć mamie na osobności: „bierzcie co możecie, tam nic nie dostaniecie”.

O godz. 2.00 do naszego domu zwała się druga grupa sowieckich wojskowych z zadaniem aresztowania nas. Typowy, sowiecki bałagan... Przed dom zajechała furmanka, na którą załadowaliśmy nasze rzeczy. Zapomnieliśmy o uprzednio przygotowanym garnku smalcu, który bardzo był nam potrzebny. Wspominaliśmy go przez całą, długą podróż. Wzięliśmy trochę jedzenia, ubrania i ojca rower. Furmanką przewieziono nas do Domu Ludowego w Supraślu. Tu spotkaliśmy znajomych: panią Marecką z dziećmi, panie Szlegier, Szulęcką, (Amelię, A.Z.) Jarmołowicz i sporo dzieci, wśród których byłem ja (10 lat) i mój brat (12 lat). W Domu Ludowym pozostawaliśmy do godz. 7.00, kiedy to zajechał samochód ciężarowy i bocznymi drogami przez Jaroszwkę, wyraźnie omijając Białystok, przewiózł nas do Czarnej Wsi (obecnie Czarna Białostocka). Tu ulokowano nas w wagonach, które sukcesywnie dopełniano dowożonymi ludźmi do godz. 16.00. Pamiętam, że gdy przejeżdżaliśmy przez Białystok Fabryczny, słyszeliśmy dzwony kościelne wzywające wiernych na nabożeństwo. W wagonie zapadła smutna cisza, a wkrótce rozpoczęto zbiorowe modlitwy⁶.

Pociąg minął ostatnie zabudowania Białegostoku i ruszył w długą drogę na wschód, do Kazachstanu. Z Moskwy wyruszył natomiast inny więzienny konwój, którego przeznaczeniem miała być Republika Komi – kraina leżąca na pograniczu Europy i Azji, tuż przed kołem podbiegunowym. Niegościnnie klimat od wieków odstraszał kolonizatorów, więc tubylcza ludność mogła tu żyć we względnym spokoju. Niestety okazało się dopiero odkrycie bogatych złóż węgla, złota, diamentów oraz ropy i przede wszystkim nastanie władzy bolszewików. W latach trzydziestych cały kraj

⁶ Archiwum Wschodnie (dalej: AW) I 0135, Relacja Czesława Drążkiewicza, k. 1-2.

pokrył się siecią obozów pracy, nazywanych w terminologii NKWD UchtPieczŁagiem, przemianowanych pod koniec lat trzydziestych na UchtŻemŁag.

Teren, gdzie znajdowały się budynki [miał] około 3 tys. m². Budynki drewniane i wewnątrz po lewej i po prawej stronie prycze jednopiętrowe, pomieszczenie na 150-200 ludzi. Higiena okropna ze względu na zastraszającą ilość pluskiew, karakanów i gryzoni. Kąpiel odbywała się raz na dziesięć dni, bielizny nie zawsze wystarczyło. (...) W łagrze, w którym ja siedziałem, narodowościowo przeważali Ukraińcy, II miejsce zajmowali prawosławni, III Polacy, IV Uzbeki i Kozacy, V Żydzi. Między nami najwięcej było spośród obywateli sowieckich bandytów i złodziei. Niezależnie (od tego, A.Z.) było sporo inteligencji jak profesorowie, inżynierowie, lekarze itp. Polacy stanowili odrębny skład, gdyż stosunki między więźniami bolszewickimi a nami były zawsze naprężone, szczerości i uprzejmości z ich strony nie zazналиśmy. Stała propaganda i wyśmiewanie. Byli i tacy, którzy ukradkiem sprzyjali nam i pomagali czym mogli, ale ich śledzono stale, musieli trzymać się z dala, bojąc się dostać dodatkowo 5 lub 6 lat nowych (do wyroku)⁷.

Tak przedstawiał się Kniaż-Pogost: łagier, do którego latem 1940 r. trafił Józef Drażkiewicz. System stalinowskich więzień przypominał ogromną maszynę, której każdy obóz był wytypowany do innej roli: jedne obsługiwały kopalnie i szyby naftowe, inne służyły jako źródło siły roboczej do wycinki drzew i tartaków albo do budowy dróg lub trakcji kolejowych. W Kniaż-Pogoście rozmieszczono zakłady naprawy maszyn UchtŻemŁaga. Praca na tym odcinku nie była tak mordercza jak w szybách kopalnianych, lecz bynajmniej

⁷ Kwestionariusz Józefa Drażkiewicza.

nie znaczy to, że więźniów traktowano ulgowo. Rozkład dnia wyglądał zazwyczaj następująco: pobudka o 5.00 nad ranem, następnie śniadanie i o 6.30 wymarsz do roboty, w południe obiad, o 18.00 koniec zmiany i powrót do obozu. Przydział jedzenia zależał od wyrobionej dniówki, jednak enkawudziści wdrożyli tak wyśrubowane do granic niemożliwości normy, że w zdecydowanej większości więźniowie nie byli w stanie ich osiągnąć, toteż głodowali. Dziennie umierały co najmniej dwie – trzy osoby. Dodatkowym obciążeniem dla Józefa był brak wiadomości od rodziny, z którą nagle, z nieznanym mu wówczas przyczyn, urwał się wszelki kontakt.

Tymczasem reszta rodziny Drążkiewiczów dotarła do Kazachstanu.

Wyładowano nas w pasiołku (osadzie, A.Z.) na stepie pod gołym niebem i pozostawiono samym sobie. Miejscowi Kazachowie obserwowali nas jak przybyszów z innego świata: nie podchodzili do nas, bali się. Wszechobecna propaganda już wcześniej przedstawiła im nas jako ciemieńców, krwiopicców, wrednych burżujów i wszystko co w komunistycznym magazynie wyzwisk było do przytoczenia. Tak minął pierwszy dzień. Nikt, dosłownie nikt z miejscowych do nas nie podszedł. Noc, chłodną noc kontynentalną spędziliśmy pod gołym niebem. Dopiero w drugim dniu zaczęli zbliżać się ci najodważniejsi. Pierwsze lody głębokiej nieufności zostały przełamane. Wreszcie pojawił się dyrektor fermy i przydzielił nam do zamieszkania domy Kazachów. Nasza rodzina trafiła szczęśliwie, bo do domu miłych i życzliwie nastawionych ludzi. On był kierownikiem miejscowej straży – nazywał siebie pożarnikiem – i mieszkał z żoną i synem⁸.

⁸ AW I 0135, Relacja Czesława Drążkiewicza, k. 3-4.

Sowchoz Kalinińsk – bo tak nazywało się miejsce, dokąd trafili Drażkiewiczowie i Mareccy – był ogromnym gospodarstwem rolno-hodowlanym. Zesłańców podzielono na grupy i przydzielono im różne zadania: kobiety pracowały jako dojarki lub zajmowały się ogrodami, starsze dzieci rąbały drewna na opał, młodsze krzątały się wokół bydła zbierając nawóz albo pomagały w sianokosach. Jadwiga Drażkiewicz przyjęła funkcję wozaka, codziennie transportując mleko do odległej o 30 km mleczarni. Lato szybko zeszło na pracach polowych, potem nastąpiła długa mroźna zima, po niej kolejna wiosna, aż wreszcie nadszedł pewien niezwykle czerwcowy poranek, kiedy mieszkańcy sowchozu zostali nagle oderwani od swoich obowiązków i na specjalnie zwołanym wiecu poinformowani, że Niemcy zaatakowały Związek Sowiecki. Niedługo potem ogłoszono dla Polaków amnestię. Z łagrów i więzień zaczęły spływać masy wycieńczonych ludzi. Bramy Kniaź-Pogostu otworzyły się przed Józefem 29 sierpnia 1941 r. Otrzymałszy wiadomość o miejscu przebywania żony i synów, podążył im na spotkanie.

Po podpisaniu umowy (Sikorski – Majski, A.Z.) i ogłoszeniu amnestii ojciec miał dwie możliwości: albo iść do wojska Andersa, albo połączyć się z rodziną. Wybrał to drugie. Przyjechał do nas późnym latem 1941 r. i natychmiast wysłano go do pracy. W styczniu grupa polskich wojskowych z upoważnienia gen. Andersa objeżdżała okoliczne miejscowości i napotkanym tam Polakom wręczała karty powołania. Z naszej farmy tylko ojciec otrzymał taką kartę. (...) Oficerowie z Armii Andersa mieli prawo zabrać ze sobą określoną ilość rodzin. Ojciec, sierżant, takiego prawa nie miał. Będąc już w wojsku poprosił jednego z oficerów, który jechał w okolice Pawłodaru i mógł zabrać jedną rodzinę, aby zabrał nas.

Oficer był w Pawłodarze, zabrał inną rodzinę. Po nas nawet nie zjechał⁹.

Zesłańcom nie pozostało nic innego, jak przystosować się do kazachstańskich stepów. Smutnym przerywnikiem codziennej monotonii były tylko pogrzeby. Zimą 1942 r. zmarła córka Mareckich, Marylka. Wybuch wojny niemiecko – sowieckiej przyniósł przynajmniej jedną zmianę – władze zaczęły wreszcie postrzegać Polaków jako odrębną narodowość, której należą się pewne prawa, jak choćby nauka rodzimego języka. Pojawiły się nawet polskie książki. Prawdziwa nauka jednak nadal była prowadzona po kryjomu, bowiem jakość oficjalnej „polskiej” szkoły pozostawiała wiele do życzenia:

W 1943 roku, gdy powstał w ZSRR (komunistyczny, A.Z.) Związek Patriotów Polskich, otwarto na naszej farmie polską szkołę, która mieściła się w chlewie. Uczęszczały do niej wszystkie niepracujące dzieci z miejscowości odległych nawet o 15 km. Każdy z nas otrzymał zeszyt, ołówek i gumkę. Mnie zapisano do czwartej klasy. Nauka trwała bardzo krótko, tylko do zimy. W następnym roku, gdy ponownie uruchomiono szkołę, mnie znowu zapisano do czwartej klasy. Kiedy w kolejnym roku po raz trzeci zapisano mnie do czwartej klasy – zbuntowałem się i to z pomyślnym rezultatem: zapisano mnie wreszcie do klasy piątej. W tej, pozał się Boże, szkole spotykałem miejscowych chłopców w wieku 17 lat, którzy po raz kolejny rozpoczynali pierwszą klasę...¹⁰

Wreszcie wojna dobiegła końca. Wśród zesłańców coraz częściej poczęły krążyć plotki o rychłym powrocie do kraju.

⁹ Tamże, k. 11-12.

¹⁰ Tamże, k. 10.

Potwierdzeniem tych pogłosek była zarządzona wiosną 1946 r. akcja powszechnych szczepień przeciw czerwonce, cholerze i tyfusowi. Kiedy przypuszczenia przerodziły się w pewność, nastąpiła prawdziwa huśtawka emocji: co dla jednych było spełnieniem marzeń, dla innych okazało się najstraszniejszym koszmarem. Nie każdy bowiem dostał łaski wydobycia się z sowieckiego piekła:

Po ewakuacji Armii Andersa z ZSRR wzmożyły się naciski władz sowieckich na pozostałych Polaków w sprawie przyjmowania obywatelstwa radzieckiego. Proponowano i grożono. Moja mama i pani Marecka za swój upór były nawet aresztowane. Inni, słuchając zapewnień, że otrzymają lepsze warunki, godzili się na to. Polakom zamieszkałym przed deportacją na Białorusi wmawiano, że są Białorusinami i tym samym mają wręcz obowiązek przyjąć sowieckie obywatelstwo. Podobnie traktowano Polaków z Ukrainy np. pani Czerwińska, żona kapitana, urodziła się w Kiszyniowie [więc] przyjęła obywatelstwo radzieckie jako Mołdawianka. Inni jednak nadal trwali w swoim uporze. Tych trzymano w więzieniu, głodzono, straszono pistoletami. A my, dzieci, siedzieliśmy przed więzieniem i płakaliśmy. Do prawdziwej tragedii doszło w 1946 r., kiedy otrzymaliśmy pozwolenie na powrót do Polski. Ci, którzy tak niefrasobliwie lub pod wpływem zastraszenia przyjęli sowieckie obywatelstwo kart repatriacyjnych nie otrzymali. Od tamtego czasu do dziś wiem, co znaczy rozpacz i wrywanie włosów z głowy. Pani Czerwińska odchodziła od zmysłów. Chyba do Polski nie wróciła¹¹.

Szczęśliwcom, którym zezwolono na powrót do Polski, nakazano spakowanie się (co zakrawało na jeszcze jedno

¹¹ Tamże, k. 12-13.

szyderstwo, jako że prawie nic już im nie zostało) i zwolniono ich z prac polowych. W dniu odjazdu naczelnik sowchozu zwołał zebranie, na którym życzył odjeżdżającym powodzenia w przyszłości. Potem zorganizował transport – kilka fur i samochód, którym przewieziono ich nad Irtysz. Jednak był to dopiero pierwszy, najłatwiejszy etap podróży. Sowietci nie byli skorzy do szybkiego wypuszczenia swoich więźniów:

Na przystani czekaliśmy pod gołym niebem, na polu, przez cały tydzień. Statki wprawdzie przejeżdżały, ale tak zapelnione, że nie mogły nas zabrać. Aż wreszcie po tygodniu jeden ze statków zlitował się nad nami i zabrał nas. Odległość 200 km pokonaliśmy w cztery dni. Tu kolejne oczekiwanie na transport kolejowy. Wybrano mężów zaufania (m.in. takim mężem zaufania została moja mama), którzy mieli za zadanie pobierać żywność na drogę: 5 kg żeberek solonych, 10 kg chleba. Posiadane ubrania wymienialiśmy na masło i sól, której w tych akurat okolicach było zatrzęsienie. W pobliżu były słone jeziora. W ich pobliżu zdejmowano metrową warstwę soli gorzkiej, a pod spodem głębokimi pokładami zalegała krystalicznie czysta warstwa tej przyprawy. Braliśmy ją ile się dało, bo nam mówiono, że w okolicach Moskwy soli brakuje i że tam dostaniemy za nią dobrą cenę. Tak się zresztą stało. (...) Wreszcie podstawiono transport – bydłęce wagony. Były one takie same jak przed sześcioma laty, z tą jednak różnicą, że nikt nas nie pilnował. Jazda odbywała się więc w nieco innej atmosferze. Pociąg zatrzymywał się przed stacjami, najczęściej w stepie. Nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy ruszy w dalszą drogę. Często musieliśmy przerywać przyrządzanie posiłków. Lokomotywa szarpała niemiłosiernie¹².

¹² Tamże, k. 14-15.

Skład jechał bez pośpiechu, stając na dłużej w Moskwie i Brześciu, aż wreszcie na początku czerwca przekroczył Bug. Polska, do której przybyli, była już jednak inną Polską niż ta, którą znali sprzed wojny. Gdy bowiem zesańcy przyjechali do Siedlec, ujrzeni widok będący odzwierciedleniem nowych czasów: na rynku, obstawionym przez milicję, właśnie burzono pomnik Józefa Piłsudskiego...

Parę tygodni później Drażkiewiczowie powrócili do Supraśla. Dom przy ul. Kościelnej w międzyczasie został potraktowany przez władze jako mienie opuszczone i oddany w dzierżawę innym lokatorom, toteż przez rok mieszkali pokątnie u obcych ludzi, nim w ich rodzinnym domostwie zwolniło się jedno z mieszkań. Jadwiga objęła funkcję kierowniczki suprańskiego przedszkola, synowie wrócili do szkoły. Tymczasem Józef Drażkiewicz po opuszczeniu Związku Sowieckiego służył w Armii Andersa, przeszedł cały szlak bojowy, włączając w to Monte Cassino, i dotarł do Anglii. W lipcu 1947 r. odbył ostatnią podróż, powracając po ponad siedmiu latach do Polski. Cieszył się tak dużym zaufaniem, że od razu został wybrany przez samorząd Supraśla (stosunkiem głosów 12 do 1) na burmistrza. Jednak jako tzw. „andersowiec” był pod stałym nadzorem Urzędu Bezpieczeństwa i wybór cofnięto już po dwóch miesiącach. W uzasadnieniu stwierdzono enigmatycznie, że należy „wybrać burmistrza, który by miał dobrą przeszłość”¹³.

Na koniec warto wspomnieć, że pomimo tak ciężkich doświadczeń małżeństwo Drażkiewiczów dożyło sędziwego wieku. Józef zmarł w 1985 r. mając przeszło 87 lat, jego żona odeszła sześć lat później. Oboje spoczywają na cmentarzu parafii Św. Trójcy w Supraślu.

¹³ APB, Zarząd Miejski w Supraślu, 10, Protokół nr 7 z posiedzenia Miejskiej Rady Narodowej, 28 IX 1947 r., k. 52.